

# Laurencja Sternowa

---

## Podróż (II)

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (30), 155-171

---

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Autobiografia

*Laurencja Sternowa*

## **Podróż (II)**

3 I 1976 r.

Na dziś Chincheros, czyli niedzielna wyprawa do wioski indiańskiej położonej wysoko w górach, jakieś trzydzieści kilometrów od Cusco. Już zobaczyliśmy wszystko, co było do zobaczenia z inkaskiej przeszłości. Również stulecia hiszpańskiego panowania były nam jako tako znane. Pozostało zatem jeszcze obejrzeć, jak wygląda normalne życie Indian dzisiejszych. Przeglądając przewodnik, natknęliśmy się przypadkiem na opis Chincheros. Normalny turysta spędza zwykle niedzielę w Pisac sławnym nie tylko z inkaskich ruin, ale również z niedzielnego targu i mszy odprawianej w kiczua. Chincheros było znacznie mniej reklamowane, ale z krótkiego opisu w przewodniku wyglądało zachęcająco. W czasach panowania Inków Chincheros było letnią rezydencją dworu. Słynie do dziś z wspaniałego pejzażu i z faktu, że będąc znacznie mniej uczęszczane przez turystów, ofiarowuje liczne uroki nie «zepsutej» indiańskiej wioski, żyjącej w nieprzerwanym rytmie lokalnej tradycji. Tak więc wybraliśmy Chincheros. Wyruszyć trzeba było o wschodzie słońca. Z trudem dopytaliśmy się o drogę do postoju ciężarówek; powiedziano nam najpierw, że do Chincheros nie ma żadnego transportu, potem znaleźliśmy ciężarówkę, której kierowca oświadczył, że owszem jedzie w tę stronę i może nas podwieźć, jakkolwiek nie więcej jak tylko na połowę drogi. Potem już jest niedaleko, oświadczył, jakieś szesnaście kilometrów w górę i na

piechotę. Wysiedliśmy i rozpoczęło się poszukiwanie od nowa. W końcu jest wóz, załadowaliśmy się we trójkę — ja, on i Moona, przygodnie spotkana Chinka z Kanady. Podeszła do nas kilka dni wcześniej w Cusco i zaczęła się dopytywać w łamanym hiszpańskim. Zapytałam po angielsku czy przypadkiem nie mówi w jakimś innym ludzkim języku. Klasnęła w ręce z radości i tak to się zaczęło nasze wspólne podróżowanie. A więc jesteśmy na wozie i w drodze. Najpierw zygzakami pod górę, potem długi zjazd w dolinę wzdłuż szlaku kolejowego do Machu Pichu. Wkrótce jednak odbijamy w prawo, jest to bowiem początek drogi do Chincheros. Za nami parę taksówek, kierowca przyspiesza, nikt bowiem nie lubi być wyprzedzonym. Tyle w tym zawodowej ambicji co zdrowego rozsądku. Podróżowanie w tumanie kurzu wzniesionym przez pierwszy samochód nie należy raczej do przyjemności. Wspinamy się znowu zygzakami w górę, aż po chwili osiągamy płaskowzgórze. Przed nami jezioro, parę zagród z gliny a na horyzoncie majaczą się Andy, ośnieżone szczyty do dziś czczonego przez Indian Sancay i Monte Veronica — lokalnej nazwy nie udało mi się znaleźć. Jedziemy na wschód, słońce odbite w wodzie jeziora oślepia, na drodze nie ma żywej duszy, jedyny głos to nerwowe trąbienie taksówek za nami. Wjazd do miasteczka, samochód zatrzymuje się na skrzyżowaniu, wysiadamy. Gdzie jest targ, gdzie kościół — te dwie instytucje jak wiadomo zawsze funkcjonują w pobliżu. Miejscowi machają ręką w górę, przyspieszamy kroku, za nami wyładowuje się paru Francuzów i grupka Amerykanów. Teraz to już prawie biegniemy pod górę, nie możemy się przecież dać wyprzedzić nowo przybyłym. Bez tchu dopadamy centrum wioski, bieg na wysokość 3800 metrów jest wyczynem nie lada. Pojedyncze domy i zagrody ukryte za starannie wylepionym murem z gliny giną z pola widzenia. Przed oczami nabiegłymi krwią po niedawnym biegu otwiera się plaza. Z dwóch stron mur inkaski, dalej kościół na podwyższeniu, obok masywna dzwonnica. W bok rozciąga się pustka, podchodzisz do rampy, dalej grunt opada stromo w dolinę, na której drugim krańcu spostrzegasz Andy w majestatycznej bieli. Na pierwszy rzut oka pejzaż jawi ci się jako prymitywna trójkolorowa składanka żółto-rudej ziemi, bieli gór, kościoła i dzwonnicy i niewyobraźalnie intensywnego błękitu nieba. Potem dopiero postrzegasz, że plaza jest pełna ludzi i że koloryt zarówno dopełnia, jak i kon-

trastuje z wysublimowaną monotonią pejzażu. Indianki z Chincheros słyną z urody. Drobnobudowane o nadzwyczaj regularnych rysach twarzy znane są ze sposobu, w jaki zaplatają włosy. Tym razem nie są to dwa warkocze splewające poniżej pasa i przewiązane kolorową szmatką. Indianki z Chincheros zaplatają włosy w tysiące warkoczyków i noszą je luźno opuszczone na plecy. Tradycyjny czarny melonik ustępuje miejsca płaskiemu nakryciu głowy, które wygląda jak bogato dekorowana pokrywka. Przez chwilę masz wrażenie, że zamiast w Andach jesteś gdzieś na Dalekim Wschodzie w Chinach, a może w Mongolii. Czerwony ciasny kaftanik z filcu z długimi rękawami i ciemnobrązowa suto marszczona spódnica dopełniają stroju.

Targ rozpoczął się już dawno, na ziemi leżą rozłożone towary. Masz je podzielone na dwie sekcje. Jedna jest lokalna, druga «turystyczna». Wiesz już mniej więcej, co możesz znaleźć w części lokalnej targu. Niezliczone odmiany ziemniaków, suszony pieprz, i to by było wszystko. Idziemy wobec tego w stronę «turystyczną». Co kupuje turysta na targach wiejskich? Poncho. Masz ich kilka rodzajów. Wyrabiane fabrycznie ze sztucznych włókien z niewielką domieszką alpaki, raczej szkaradne, ale za to tanie. Dalej masz drugi rodzaj. Te są już wyrabiane domowo z wełny w naturalnych kolorach, lepsze w gatunku, ale bez wdzięku. Na ogół znajdujesz je na targu indiańskim w Cusco, lub też w państwowych kooperatywach typu Cepelia. Poza tym masz jeszcze ostatni typ poncha i ten właśnie chcesz teraz zakupić. Są to poncha lokalne, ręcznie tkane w tradycyjnych wzorach i wyrabiane głównie na użytek prywatny. Znajdujesz je czasem na rynku w Cusco, ceny takie więcej nowojorskie, dlatego też ruszasz szybko w stronę sekcji turystycznej targu w Chincheros, mając cichą nadzieję, że ceny miejscowe będą bardziej dostosowane do możliwości twojej kieszeni, której dno już prześwituje po blisko pięciu tygodniach pobytu w Ameryce Południowej. Poncha tradycyjne są oczywiście znośne i brudne, kolory lekko wyblakłe, ale to przecież tylko dodaje im smaku w Twoich oczach, świadczy bowiem niezbicie o ich autentyczności. Z ponchem w ręku zaczynasz się targować. Indianka kręci głową i odmawia. «No mamita, no» powiada, i rozumiesz, że jest to koniec dyskusji. Wtedy uświadamiasz sobie, że przecież nie jesteś na Bliskim Wschodzie, gdzie targowanie się o cenę należy do obowiązującego rytuału

towarzyszącego zakupowi jakiegokolwiek artykułu. Nie targujesz się, tym samym pozbawiasz sprzedającego elementu gry, zubożasz proceder wymiany, który jest tyle aktem handlowym, co wydarzeniem towarzyskim. Indianie się nie targują. Nie znaczy to jednak, że mają jedną ustaloną cenę na produkty. W istocie mają dwie ceny, jedna dla miejscowych i druga turystyczna. Oczywiście, że należąc do tej drugiej kategorii, płacisz cenę turystyczną i wymieniwszy 600 pesetów, odchodzisz z ponchem w rękę. Co jeszcze można dostać na targu? Lokalnie wyrabiane swetry, pamiętasz powojenną modę sportową pulowerów na narty w typie norweskim z ozdobnym szlakiem jeleni i gwiazd? Swetry z alpaki są tego typu, tyle tylko, że zamiast jeleni masz znacznie egzotyczniejsze lamy w dumnej paradzie. Są jeszcze garnki malowane w pseudoinkaskie wzory i trochę starych monet, pamiętających czasy hiszpańskiego panowania.

Słońce zaczyna dopiekać, Indianki ruszają się z miejsca, podążamy za nimi. W kościele rozpoczyna się msza. Wchodzisz do wnętrza jak do piwnicy. Indianki wbiegają drobnym kroczeniem, na progu padają na kolana i milcząco przesuwają się do tyłu. Front kościoła zajęty jest przez mężczyzn. Oswojony z mrokiem powoli rozglądasz się po wyzłoconych ołtarzach, gdzie w niszy siedzący Chrystus ma, jak wszędzie, perukę z naturalnych włosów i ten sam wyraz umęczonej ekstazy, jaki spotykasz tylko w hiszpańskim baroku. Nagie ciało jest upstrzone strupami zastygłej krwi w niepokojąco jaskrawej czerwieni. Obok obrazy, na których Indianie w narodowych kostiumach parady w procesji Corpus Christi, hiszpańskiej wersji tradycyjnego wiosennego festiwalu obchodzonego ku czci Inka Roca. Wyobrażasz sobie, że procesja inkaska niewiele musiała się różnić od chrześcijańskiego obrządku. Prawdopodobnie rozpoczęła się na obecnej placu a kończyła w inkaskiej świątyni, na której miejscu stoi obecnie kościół. Msza celebrowana jest w kiczua, muzyki nie ma, organy nie istnieją, misterium odbywa się w ciszy i mroku. Nie trwa zresztą długo, wychodzisz przed kościół, za tobą wysypują się wpierw kobiety a za nimi grupa mężczyzn wyprowadzających celebransa-księdza. Na placu robi się nagle czarno. Wszyscy mężczyźni ubrani są bowiem w czarne garnitury od okazji. Zakończenie mszy jest hasłem do zwiżania targu. Nagle pojawiają się osły, zaczyna się objuczanie zwierząt i ludzi. Na pochylonego chłop-

ca rodzice ładują puste kosze z wikliny, kobiety zarzucają chusty z nie sprzedanymi towarami na plecy i znikają jedna po drugiej w bramie wylotowej. Wypijamy ostatnią szklankę «chicha morada» — bezalkoholowego napoju z kukurydzy — i po odbyciu narady decydujemy się na pieszy powrót do Cusco, jeżeli nie całej drogi, to przynajmniej połowy idącej w dół. Powrót na piechotę jest niezbędny, o ile nie zamierzasz zwiedzać kraju wyłącznie z wysokości samolotu lub ciężarówka. Owe szesnaście kilometrów na piechotę było pierwszym autentycznym zetknięciem się z Andami, z ziemią ci nieznaną, z rytmem tak różnym od twojego. Po raz pierwszy poczułeś się nie jak turysta, ale «swój». Bariera obcości została przełamana. Słońce przesuwa się na zachód. Andy występują wyraźniej na horyzoncie. Po drodze mijają cię parę ciężarówek, Amerykanie i Francuzi odjechali już wcześniej. Na podwórzu domu przy drodze siedzą miejscowi, machają do ciebie rękami, zapraszają do kompanii, ale odmawiasz, droga do Cusco daleka a zmrok w Andach zjawia się szybko, masz jeszcze tylko dwie godziny światła i ciepła. Oto już zbiegamy w dół z płaskowzgórza, mijamy parę przydrożnych osiedli, krótki postój nad rzeką i za chwilę znajdujemy się na drodze głównej wiodącej z Machu Pichu do Cusco. Ostatnie spojrzenie w tył, w tumanie kurzu mijają nas ciężarówka. Słyszałaś — on mówi. Słyszałam, odpowiadam, ktoś krzyknął «Oksford!» Bez słowa rzucamy się do przodu. Na drogę zeskakuje postać z czerwonym plecakiem. Ściskamy Piotra, nie wierząc własnym oczom. W noc przed wylotem do Ameryki powiedzieliśmy sobie do zobaczenia, gdzie? w Cusco oczywiście. Wszak wszystkie szlaki w Ameryce wiodą do stolicy imperium Inków. Mam czerwony plecak, powiedział, rozpoznacie mnie łatwo. I oto stoimy na drodze, oszołomieni tym niespodziewanym spotkaniem, chaotycznie wymieniając okrzyki i pytania. Ruszamy dalej w stronę Cusco, szanse na zatrzymanie ciężarówka maleją z każdą minutą, bowiem zmierzch zapada raptownie. Ale oto mijają nas autobus, machamy rękami, kierowca tylko przyspiesza na nasz widok. Kilkadziesiąt metrów dalej doganiamy autobus. Stoi w miejscu, konduktor na czworakach w gorączkowym pośpiechu szuka zguby. Dołączamy się do poszukiwań i jest! Łapiemy na ręce naszą szansę — worek z prowiantem, co spadł z dachu — i wdrapujemy się na górę. Za nami konduktor. Autobus rusza, Piotr prowadzi z konduktorem dyskusję w płynnej

wozackiej hiszpańszczyźnie. Jonatan dorzuca co chwilę uwagi w keczua. Znalazł je w samouczku. Nie są co prawda na temat, jako że należą do typu «Twoje usta czerwone są jak malina», ale efekt wywołują niezapomniany. Moona nuci chińskie ballady miłosne a ja, żeby nie być gorsza, wtóruję «Szła dziewczeczka do laseczka» i tak wjeżdżamy z powrotem do Cusco. Jeszcze jedno »Pisco Sour« dla rozgrzewki i pożegnania. Piotr rankiem wyrusza szlakiem odwrotnym do nas na północ wzdłuż Ukajali do Iquitos, a stamtąd Amazonką do Atlantyku. Następnego dnia czeka nas wyjazd do Limy, gdzie spędzimy ostatnie swe dni na zwiedzaniu miasta, muzeów i spotkaniach z ludźmi, do których mamy listy polecające. Przez chwilę wałęsamy się jeszcze po opustoszałej Plaza de Armas, wstępujemy do klubu na ostatnią partię szachów i do hotelu. Tak oto dobiegł końca ostatni nasz dzień w świecie, który zamieszkaliśmy na przeciąg dwóch tygodni.

Tyle na dziś. Relacji nie przedstawiam w porządku chronologicznym. Zwiedzanie Cusco i okolic wyprzedziło w czasie wizytę nad jeziorem Titicaca, ale tak się złożyło, że ostatnie wspomnienia opisałam Ci wpierw. Zachowaj więc też ten porządek narracji. Dziękuję Ci za szansę pisania tych listów. Przeżycia sprzed pół roku stają mi na nowo przed oczami. Swoją drogą czy chcesz, żebym wysłała Ci parę zdjęć z opisywanych miejsc? Mam kilka całkiem interesujących. Można by było ewentualnie włączyć je do narracji. Co sobie o tym myślisz?

5 II 1976 r.

*Powrót do Limy.* Do miasta można dojechać na trzy sposoby: statkiem, autobusem wzdłuż wybrzeża z Ekwadoru i samolotem. Znane nam są ostatnie dwa sposoby. Autobusem przyjechaliśmy do Limy z Ekwadoru. Dwadzieścia osiem godzin nieprzerwanej jazdy wzdłuż morza na brzegu pustyni. Całe wybrzeże Peru jest pustynią, burą i ponurą. Jak to jest, że na granicy Ekwadoru świeciło słońce, była piękna pogoda, a tuż po przekroczeniu granicy zapadł mrok, zrobiło się pochmurno i tak to już trwało do samej Limy i prawie do granicy Chile? Dalej znowu pięknie. W Limie latem jest zima. Na wybrzeżu oznacza to szereg miesięcy bez

słońca, piaskowe burze, wilgotne powietrze, ale bez deszczu. W drodze powrotnej z Andów przylecieliśmy do Limy samolotem z Arequipa, miasta całkowicie hiszpańskiego — Indian nie ma — położonego u podnóża wulkanu El Misti. Wygląda jak Fudżijama, ten sam kształt stożka pokrytego śniegiem u szczytu. Arequipa leży w niecce górskiej na wysokości około dwóch tysięcy metrów. Po wyżynach Andów czujesz się, jakbyś się nagle znalazł w szwajcarskim przytulnym uzdrowisku. Co prawda w Szwajcarii nie ma palm, ani też architektury oszalałego baroku w typie Salamanki, ale pejzaż ma podobny charakter oswojonej dzikości. Przyjechaliśmy do Arequipy w nocy, następnego dnia wczesnym popołudniem odlatywaliśmy do Limy. Pół dnia zwiedzania miasta i klasztoru Santa Catalina, najdziwniejszego zabytku hiszpańskiego, jaki widzieliśmy w tej części świata. Założony został przez mniszki importowane z Hiszpanii. Panny z bogatych rodów były jego założycielkami. Klasztor jest labiryntem dziedzińców, każdy w innym kolorze. Zaczynasz od błękitnego, kończysz w soczystej ochrze. Pośrodku natrafiasz na miniaturową Hiszpanię, skwer z promieniście rozchodzącymi się miniaturowymi uliczkami. Masz tam calle Toledo, calle Barcelona, Salamanca i parę innych. Wzdłuż ulic znajdujesz usytuowane prywatne siedziby założycielek zakonu. Imiona córek grandów i potomkiń konkwistadorów wypisane są na drzwiach w oślepiającym bogactwie arystokratycznych tytułów. Zwiedzamy poza tym parę innych kościołów, trochę chodzimy po mieście, zjadamy lunch — Arequipa słynie z wyrafinowanej kuchni — jest to nasz pierwszy «europejski» posiłek po tygodniach głodówki i spędzania dnia na garstce ryżu i pomarańczach, i wyruszamy na lotnisko. Czy możesz sobie wyobrazić pas startowy, który wpierw idzie do góry a potem w dół? Patrzymy na siebie raczej niepewnie, do pilotów południowoamerykańskich nie mamy zbytniego zaufania, ale też nie mamy innego wyjścia. Samolot wyskakuje zza wulkanu, podchodzi do lądowania, obserwujemy w napięciu, ale jakoś siada i za parę minut zapraszają nas do wnętrza. Samolot wspina się spiralą z niecki i już jesteśmy nad Andami. Siedzimy z nosami przyklejonymi do szyby. Jak wyglądają Andy z góry? Inaczej niż góry, jakie widziałam przedtem z samolotu. Są burożółte. Żadnych drzew ni lasów. Jeden łańcuch wytłania się za drugim, od czasu do czasu wyskakuje ośnieżony wierzchołek wulka-



nu — Królewska Kordyliera cała w bieli pozostała już za nami dalej na wschód. Osiedli nie ma, od czasu do czasu łapiesz wzrokiem kawałek drogi wiodącej do nikąd. Samolot nie leci wysoko, a więc gdyby jakieś osiedla, jakieś znaki ludzkiego pobytu na tej nieprzyjaznej ziemi, to nie uszłyby one twojej uwagi. Ale nie ma nic poza jednym pasmem Andów za drugim. Samolot skręca gwałtownie, znajdujemy się prawie nad brzegiem Pacyfiku. Na południu to już Chile, niebo bezchmurne, natomiast krajobraz pod tobą zmienia się raptownie. Góry i ocean znikają pokryte równym połykliwym pokrowcem z chmur aż po horyzont. Nie wierzysz, że pod tobą znajduje się ład stały, a wychylające się od czasu do czasu szczyty, które przebijają jednolitą powłokę chmur, tylko wzmacniają poczucie całkowitej nierealności. Samolot się obniża, nie zanurza się, ale nurkuje w powłokę i nagle przechodzisz od rozstłonecznionej nierealności do szarawoburej rzeczywistości peruwiańskiego wybrzeża zimą. Jedziemy do miasta, pokój mamy zarezerwowany w tym samym hotelu, w którym zatrzymaliśmy się po przybyciu do Peru z Ekwadoru.

Jak by Ci tu opisać Limę? Było miasto i nie ma miasta. To jest Lima. Kiedyś było to miasto kolonialne, którego tradycje przetrwały przez trzy stulecia po to, żeby w ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat ustąpić miejsca, ale czemu? Nowoczesnemu dworcowi autobusów, który musiał być chlubą miasta w latach pięćdziesiątych, ale teraz wygląda nieopisanie szarawo. Nowemu hotelowi Hilton, którego sylwetka rujnuje rysunek śródmieścia? I oczywiście nowo przebitym autostradom, które przecinają miasto we wszystkich kierunkach, stwarzając ułudne wrażenie metropolii, a w istocie prowadząc do nikąd. Natychmiast za miastem rozpoczynają się te same nieasfaltowane drogi, widzisz te same odrapane autobusy, bez okien, o drewnianych siedzeniach. Lima i Peru to dwie różne sprawy. W stuleciach, które nastąpiły po podboju przez konkwistadorów, Hiszpanie budowali Peru jednolicie, była to kolonia imperialna, której ślady widzisz w tych wszystkich miejscach, do których Hiszpanie dotarli, gdzie wywarli swój wpływ i skolonizowali. Kiedy zwiedzasz Peru AD 1975, masz nieodparte wrażenie, że całe państwo poszło spać na więcej niż stulecie, ocknąwszy się nagle z młodej drzemki w połowie naszego wieku, usiłując wielkim wysiłkiem nadrobić zaległości. Skutki tego nigdzie nie są tak widoczne jak

w Limie, mieście najrozleglejszych slumsów, jakie w życiu widziałam, ostentacyjnie milionerskiej dzielnicy uprzywilejowanych, restauracji, w których posiłek kosztuje cię więcej niż to, co byś zapłacił gdziekolwiek w Europie, najgorszego publicznego transportu — ogonki do autobusów rozciągają się na kilometry — i budynków rządowych tego formatu, że nie masz żadnych wątpliwości co do rozmiarów, biurokracji. Wprowadzanie Limy i Peru w wiek dwudziesty zaczęło się od bezprzykładnego burzenia starego miasta. Dopiero po jakimś czasie ktoś poszedł po rozum do głowy, że przecież takie drastyczne posunięcia nie są konieczne, że można budować na wolnych miejscach bez szkody dla starych. Ale co zrobiono, tego nie można już było odrobić. Wydaje się, że po szeregu daremnych wysiłków unowocześniania starej Limy zarzucono częściowo projekt oryginalny i zamiast tego z równą pasją rzucono się do konstruowania nowego przedmieścia Miraflores, które ukończone mogłoby się znajdować w każdym kraju na kuli ziemskiej, do tego stopnia brak mu indywidualnego charakteru. Mieszkańcy Limy są podobni do miasta, będąc mieszkanką wszystkiego z wszystkim. Indianie przestali być Indianami z Andów, zamieniając się w żebraków i ulicznych kupców metropolii. Przeważająca większość to Mestizo ze znaczną domieszką europejskiej zbieraniny rekrutującej się z wojennych uchodźców, lub też ludzi, którzy z różnych przyczyn woleli rozpułnąć się w anonimowej masie. Lima jest miastem samym w sobie, wydaje się, że fakt bycia obywatelem Limy nie jest tym samym co bycie mieszkańcem Peru. Co prawda propaganda nacjonalistyczna jest wtłaczana wszystkim przemocą do gardła, ale mieszkańca Limy informuje się na ogół o zdarzeniach, które dzieją się w zasięgu ręki, o tym jak wygląda jego kraj, nie ma pojęcia, ani też nie wydaje się tym szczególnie zainteresowany. Na pytanie, jakie kierowaliśmy do znajomych, czy byli w Andach, czy widzieli Titicaca, czy znają Cusco i wiedzą, co tam się dzieje, odpowiedź była nieodmienne odmowna. Siedzieli i słuchali naszych relacji z oczami rozszerzonymi z przerażenia, całkowicie nieświadomi sytuacji, nędzy i typu polityki, która tam w Andach znajduje postuch. Oczywiście, że tak wygląda sytuacja tylko w ogólnych zarysach. Spotkany antropolog wiedział dokładnie, co się dzieje na prowincji, ale też ta wiedza należała do jego zawodu. Starą Limę zwiedzaliśmy krótko. Pałac arcybiskupów, katedrę i parę

innych kościołów noszących na sobie ślady ostatniego trzęsienia ziemi i niedawnych rozruchów, kiedy to wyprowadzono czołgi na ulice i Lima przez parę dni znajdowała się w stanie oblężenia ze strony swojej własnej policji. Wchodzimy do jednego z kościołów w starym śródmieściu i doznajemy szoku. Każdy zwiedzający budowle sakralne Europy wie dobrze o istnieniu tak zwanych kościołów pielgrzymich. Większość kościołów epoki romańskiej we Francji i Północnej Hiszpanii miała ongiś ten charakter. Cóż on oznaczał w istocie? Specyficzny plan, manifestujący się w niezliczonej ilości kaplic przeznaczonych do celów dewocyjnych i tym, co widzisz w skarbcu kościelnym. To znaczy figury świętych i relikwiarze, które dawniej dekorowały kaplice przyciągając pielgrzymów, owe «package holiday tours» wieków średnich. Większość pielgrzymich kościołów w Europie została prawie całkowicie odarta z dawnego charakteru. Nisze świecą pustkami, pozostawiając wolne pole dla historycznej wyobraźni. Dopiero tutaj Kościół San Francisco jest autentycznym kościołem pielgrzymim do dziś dnia. Nawy boczne otwierają się na zewnątrz kaplicami, każda strojna ołtarzem i w ołtarzu figura. Madonny, Chrystus przesuwają się przed tobą w korowodzie złotem haftowanych pluszów i brokatów. Twarze Madonn ukolorowane różem, usta karminem, oczy szklane. Na piersiach sznury pereł, wisiorzki z drogich kamieni, szkaplerze ze złotej i srebrnej blachy. Przy jednym z filarów wejściowych stoi na postumencie szklana kasetka. Wokół świece i tłum. Przebijasz się przez rzeszę i stajesz naprzeciw pudła. Wewnątrz na srebrnym tronie siedzi lalka wielkości rocznego dziecka. Takie lalki ze złotymi sztucznymi lokami, wołające «tata», «mama» możesz kupić za niemałe pieniądze w każdym większym europejskim sklepie z zabawkami. Lalka ubrana jest w sukienkę z brokatu, na nóżkach ma niemowlęce buciczki od Marksa i Spencera. A wokół na podłodze stoją miniaturowe modele samolotów, samochodzików, rozróżniamy model włoskiego fiacika. Lalka ze sklepu to Dzieciątko Jezus, modele samolotów i samochodów to współczesna wersja wotywnych darów. Pozostaje Ci zadać sobie pytanie czy przypadkiem te wszystkie figury świętych, te wszystkie Madonny i Chrystusy w ołtarzach, które teraz wydają Ci się, jeżeli nie dziełami sztuki, to dopuszczalnymi kiczami, nie są w gruncie rzeczy tym samym, co owa lalka ze złotymi lokami, a różnica w percepcji nie jest jedynie motywo-

wana dystansem historycznym, który jak widać nie istnieje w przeżyciu lokalnym. To prawda, że żadnemu z mieszkańców Limy nie przyszyłoby do głowy klękać i oddawać religijną cześć lalce na wystawie sklepu z zabawkami, ale wystarczy przenieść ten sam przedmiot w inne otoczenie, żeby mu nadać nowe znaczenie, otoczyć mistyką cudowności i tym samym spowodować nowe, nieoczekiwane reakcje. Padanie na twarz, nabożne pełzanie na kolanach w stronę szklanego pudła, pełne lęku wobec misterium obcałowywanie kantów skrzynki. Wychodzimy z kościoła jak oszołomieni, rzeczywistość kultu, który trwa i rozwija się, jest przeżyciem, jakiego nie spodziewaliśmy się doznać.

Pozostają nam jeszcze do obejrzenia muzea. Muzeum miejskie ze wspaniałymi zbiorami malarstwa religijnego szkoły Cusco, głównie z XVII w. Przewaga Madonn i Chrystusów. Oboje na ciemnym tle, Madonna przybrana w bogato ornamentowane szaty sztywne od drogich kamieni, Chrystus stojący na krzyżu, zamiast opaski pallium do kolan jak w romańskim malarstwie szkoły katalońskiej — i kwiaty. Wszędzie te same bajecznie kolorowe bukiety, ustawione po obu stronach krzyża i dopiero po pewnym czasie orientujesz się, że obraz nie przedstawia ukrzyżowanego, ale ołtarz z przedstawionym ukrzyżowaniem. Chrystusy szkoły Cusco jak również Madonny z tego cyklu są obrazami obrazów.

Dalej zbiory ceramiki, ale te przeglądamy pobieżnie, bowiem mamy jeszcze przed sobą muzeum specjalistyczne poświęcone archeologii regionu. Wpierw jednak decydujemy się na zwiedzenie Muzeum Złota. Przedtem jednak trochę geografii, plotek i historii. Znaleźć drogę do Muzeum Złota niełatwo, położone jest bowiem na jednym z niezliczonych nowych przedmieść. Dojechać tam można albo autobusem (ale w mieście, w którym przystanki autobusowe są rzeczą prawie nieznaną, dość trudno zorientować się w zawiłym systemie komunikacji miejskiej), albo «na łebka». Ta instytucja jest znana powszechnie. Stajesz prawie na środku ulicy, ryzykując przejechanie, i wysuwasz wskazujący palec w górę. Jak masz szczęście, to łapiesz coś w rodzaju prywatnej półciężarówki, która podwozi Cię na miejsce. Muzeum położone jest w odosobnionej części osiedla. Wchodzisz przez bramę do parku ogrodzonego drutem pod napięciem elektrycznym i dochodzisz do niewielkiej budowli, która z zewnątrz przypomina bunkier a wewnątrz — okazuje się prawdziwym

bunkrem. Muzeum Złota jest instytucją prywatno-państwową. W istocie oznacza to, że zbiory znajdujące się w nim są w zasadzie własnością prywatną otwartą dla publiczności, znajdującą się pod nadzorem i opieką państwa. Prywatny właściciel nie ma prawa sprzedać swojej kolekcji, ale z kolei wszystkie propozycje dotyczące wystawienia zbiorów w innych muzeach muszą być przez niego akceptowane. Historia właściciela zbiorów jest równie dziwaczna jak samo muzeum. Don Miguel Mujica Gallo jest milionerem z Limy, który zrobił majątek na szczęśliwie przeprowadzanych operacjach finansowych. Nie byłoby w tym fakcie nic szczególnego — takich jak on jest więcej w tym świecie — gdyby nie fakt, że Don Miguel od wczesnej młodości okazywał zamiłowanie do zbieractwa. Pierwszym rezultatem tej pasji było stworzenie najbogatszej ponoć na świecie kolekcji broni — dwadzieścia tysięcy eksponatów — wystawionej na parterze bunkra. Wydaje się jednak, że namiętność kolekcjonera w połączeniu ze zmysłem interesu skierowała go wkrótce w inną stronę, tym razem w kierunku gromadzenia zabytków archeologicznych z przeszłości Peru. Trzeba tutaj dodać, że Peru nie zna takiej instytucji jak Główny Urząd Konserwacji Zabytków, ani też nie roztacza rządowej kontroli nad pracami wykopaliskowymi, które do tej chwili są prowadzone na własną rękę w sposób żywo przypominający dziewiętnastowieczną tradycję wykopaliskową na Bliskim Wschodzie. Przypuszczam, że większość zdumiewających eksponatów wystawionych w Muzeum Złota została prywatnie przez Don Miguela zakupiona od amatorów archeologów, którzy na własną rękę rozkopywali i do dziś rozkopują indiańskie nekropole. Nie przyjechaliśmy do Peru po to, żeby oglądać historyczną zrojożnię, przebiegamy więc przez parter wprost do podziemi. Muzeum Złota jest przestrzennie niewielkie, wszystkiego trzy sale, ale co za eksponaty! Nie tylko Inkowie musieli kochać się w złocie, ale inne wcześniejsze plemiona indiańskie również. Wystawa zaczyna się od naszyjników. Od skromnych, na codzienny użytek, do bardziej świątecznych. Te ostatnie składają się z półszlachetnych i szlachetnych kamieni, każdy wielkości kurzego jaja, przeplatanych dla ozdoby kulkami z topionego złota. Żeby nie było złudzeń, wystawiono nie parę takich naszyjników, ale setki. Pięć albo sześć szklanych gablot jest szczelnie nimi wypełnionych od góry do dołu. Dalej maski ze złotej blachy. Z pustych

oczodołów spływają tży. Na metalowe druciki nanizane są szmaragdy szlifowane «a la cabochon», każdy wielkości piąstki dziecka. Dalej wspaniale wypracowane złote noże rytualne z przedstawieniem bożka, stojącego na rękojeści półksiężycowego ostrza. Jest i czaszka, na której pomysłowy indiański dentysta dokonał dzieła jedyne go w swoim rodzaju. Trzydzieści dwa naturalne zęby zostały zastąpione dokładnie wykonanymi kopiami z ametystów. Z pewną ulgą przeczytaliśmy w przewodniku, że operacja ta miała miejsce już po zgonie pacjenta, inaczej strach pomyśleć. Złoto w kulturach indiańskich było zaiste używane do celów raczej niecodziennych. Poza naszyjnikami, maskami i nożami znajdujemy również tuniki, całe wykonane z cienko wyklepanych złotych blaszek, a żeby nie było wątpliwości, że złoto dalej znajduje się w Andach, obok leży kawałek glazu dziwnie żółty. Jak informuje nalepka, jest to kawałek złota ostatnio znaleziony w jednej z rzek spływających z jeziora Titicaca. Waga tego okazu: około dwóch kilo.

Ale to nie wszystko. Następna sala poświęcona jest naczyniom robionym ze złotej blachy. Nie ma wątpliwości, że dawni władcy tego kraju lub jego prowincji mieli zastawę stołową wedle najwyższych imperialnych standardów, tylko z jedzeniem było kruch o, jak się wydaje. Są i złote zwierzątka, niezmiennie lamy, kaczki i jaguary. Już nie wiemy, co nas bardziej uderza, bogactwo materiałowe, owo złoto i kamienie, czy też rzemiosło. Jestem skłonna przypuszczać, że jednak to pierwsze, a może jest to tylko wynikiem naszej niezdolności zrozumienia kultur tak obcych? Może to wydawać się dziwne, ale spoza tego przepychu i bogactwa wylania się kultura prymitywna i monotonna, której jedyną atrakcją jest barbarzyńska dzikość.

Zwiedzenie muzeum antropologicznego nie rozwiewa całkowicie pierwszej impresji. Tak jak cywilizacja Inków widziana z perspektywy Machu Pichu i Pisac jawi się jako cywilizacja schodów, tak kultury wybrzeża Pacyfiku w dzisiejszym Peru ukazują się jako świat garnków. Niewiele innego przetrwało, jak się zdaje, a co było to albo piasek zasypał, albo zniknęło z powierzchni ziemi prawie bez śladów, nawet bez pomocy hiszpańskiej. Są co prawda nad Pacyfikiem ruiny, które dają bardzo wysokie świadectwo kulturze dawnych narodów na tej ziemi. Są to księżycowe ruiny indiańskiej metropolii w Chan-Chan w połowie drogi między obecną granicą

Ekwadoru a Limą. Rozciągają się na przestrzeni 28 kilometrów kwadratowych, nieskończone ulice, ruiny pałaców, czy też twierdz półobronnych, wszystkie mury pokryte płaskorzeźbami. Na płaskorzeźbach dziwaczne półstwory, półludzie w wojowniczych gestach, tak że masz nieodparte wrażenie, że wędrujesz po jakimś monstrualnym obozie wojskowym, kroczysz po śladach cywilizacji krwawej nastawionej na podbój i mord. Śladów tej aktywności niewiele znajdujesz w muzeum archeologicznym, którego eksponaty uszeregowane są wedle dwóch podstawowych kluczy. Jeden to klucz chronologiczny, poszczególne kultury ułożone są od najdawniejszych do najmłodszych, dlatego też Inkowie znajdują się na samym końcu wystawy jako ostatnia w istocie rdzenna cywilizacja lokalna. Jeżeli powiemy sobie, że eksponaty wystawione w Muzeum Złota reprezentowały kultury dworskie i ewentualnie rytuał — owe noże i prawdopodobnie czaszka jak również liczne zwierzątka ze złota — to przedmioty zgrupowane w muzeum antropologicznym w przeważającej masie ukazywały «życie codzienne» (drugi klucz). Jest rzeczą zdumiewającą, jak to się stało, że w cywilizacjach, które nie znały koła garncarskiego, większość zabytków, jakie się przechowały do naszych czasów, to garnki, i owo «życie codzienne» jest przy ich pomocy rekonstruowane i ilustrowane na wystawie. A więc masz tam całe serie garnków-domków ze schodkowo wylepionymi dachami. Są tam garnki-kaczki, garnki-jaguary, garnki-węże. Masz tam całą serię garnków-ludzi, jednych okropnie powykrzywianych, napisy pod spodem głoszą, że seria przedstawia choroby. Jak się wydaje, ilość ludzi trapionych chorobami wenerycznymi i paraliżem była wcale niemała. Jest również seria dostojników, są to garnki-głowy. Co cię zdumiewa, to ciągłość rasowa, te same twarze spotykasz do dziś dnia na wszystkich jarmarkach w Andach, we wszystkich wioskach, jakkolwiek rzadziej znajdujesz je wśród mieszkańców nizin. Masz również całą grupę przedstawiającą zajęcia domowe, tkanie lub czynności związane z uprawą ziemi. I na ostatku masz serię garnków o tematyce «erotycznej», która to jak się zdaje zajmowała wcale poczesne miejsce w rodzimym rzemiośle. Tak poczesne było to miejsce, że jakiś przedsiębiorczy archeolog rodzimego chowu założył w Limie muzeum erotyczne cieszące się największą bodaj popularnością wśród rzesz zwiedzających, jak również łaskawym poparciem rządu. Jak się wydaje, kultury in-

diańskie nie miały tabu seksualnych typu europejskiego, ale raczej traktowały sceny, które my nazwalibyśmy intymnymi, z rozbrajającą szczerością i niewątpliwym umiłowaniem precyzji i szczegółów.

Poza tym nie ma w tym muzeum nic, co mówiłoby Ci, że dawni mieszkańcy Peru mieli zainteresowania natury innej, nie tylko pragmatycznej. Nie ma tańców, nie ma scen przedstawiających rytuały religijne, nie ma czegoś w rodzaju teatru, zabaw itp. Życie codzienne Indian przedstawia się nam w szarej, nieatrakcyjnej rzeczywistości, ubogiej w rozrywki, ograniczonej do podstawowych czynności budowy osiedla, obrony przed możliwymi najeźdźcami, mozolnego zdobywania pożywienia w gromadzie, nękających chorób — czy wiesz, że wedle lokalnej tradycji roznośnikami chorób wenerycznych były lamy, a że sodomia nie była i nie jest rzeczą rzadką wśród mieszkańców co bardziej oddalonych osiedli, przeto hiszpańscy przybysze, którzy weszli w intymne kontakty z mieszkańcami, rychło byli zmuszeni do zużycia części złota z legendarnego Eldorado do celów tak prozaicznych, jak leczenie się z tej groźnej choroby — i płodzenia, które — sądząc z przedstawień na garnkach — było jedynym rodzajem ucieczki od ponurej monotonii dnia powszechnego.

Trzeba się spieszyć, za dwie godziny odlatujemy z Peru z powrotem do Europy. Łapiemy taksówkę, wracamy po bagaże do hotelu. Za ostatnie pieniądze kupuję «idolito» z turkusa. Bożek jest groźny, leb ogromny zawieszony wprost na masywnych krótkich nogach. I wylot z Limy. Lotnisko jest nowoczesne, szklane pudełko otoczone mizernymi palmami pod szarym pochmurnym niebem. Samolot jest prawie pełny, pasażerowie, przeważnie Hiszpanie, wracający do domu z odwiedzin rodzinnych. Zapinamy pasy i już jesteśmy ponad Limą, ponad chmurami, w pełnym słońcu. Pod nami przesuwają się pasma Andów. Samolot skręca, lecimy w kierunku północno-wschodnim. Szukam wzrokiem Huaras, jednego z najwyższych szczytów w Andach i jednocześnie aktywnego wulkanu. Trzy lata temu zdarzyła się tam tragedia. Jakies pół roku przed wybuchem brytyjski geolog wdrapał się na górę i opukawszy ściany wrócił do miasteczka, informując miejscowych notabli o rychłym wybuchu, w wyniku którego, wedle jego opinii, połowa góry zostanie dosłownie wysadzona w powietrze, a pobliskie miasto ma



szanse zostać zrównane z ziemią. Radził miasto ewakuować, pisał w tej sprawie memoranda do rządu, najpewniej utonęły w morzu papierowej biurokracji. Wybuch nastąpił którejs nocy w pół roku później, dokładnie wedle przewidywań geologa. W tej nocy Sądu Ostatecznego zginęła prawie cała ludność miasteczka zalanego wodami pobliskiego jeziora kompletnie wypełnionego odłamkami skalnymi. Dopiero po tej tragicznej lekcji rząd postanowił odbudować miasto na innym, tym razem «bezpiecznym» miejscu. Wydaje mi się, że znajduję Huaras, dominuje nad okolicznymi szczytami, jedno zbocze jest ucięte jak nożem. Za chwile fałdowania terenu łagodnieją, na stokach pojawia się zieleń i oto pod nami rozciąga się równina aż do horyzontu. To już dżungla, chmury znikają, słońce odbija się w licznych rzekach i rozlewiskach. Osiedli nie ma, jednolity i nieprzerwany kożuch zieleni pokrywa ziemię. Rzeki robią się coraz większe i łączą, pewnie są to źródła Amazonki, po trzech godzinach lotu lądujemy w Caracas. Proszą nas na lotnisko, wysiadamy, zmiana samolotu, zmiana obsługi na następny skok przez Atlantyk. Zmieniamy czas na zegarkach, to już nie czwarta po południu, ale dziesiąta w nocy. Z powrotem do samolotu, ruszamy, pod nami Atlantyk w chmurach, od czasu do czasu łapiemy skrawek którejs z Wysp Karaibskich, w samolocie zapalają się światła, obsługa roznosi kolację. Potem jeszcze film, nad Atlantykiem zapada noc, patrzymy jeszcze raz na zegarki, trzecia w nocy. Obsługa rozdaje koce i poduszki, gasi światło, zapadamy w rodzaj drzemki, siedzę niewygodnie, budzę się co chwila, zapadam w sen znowu, ale na krótko. Otwieram oczy, w samolocie zapalono wszystkie światła, pytam z niedowierzaniem o godzinę, stewardesa mówi mi, że jest już szósta i podaje śniadanie. Za oknem dzień, za chwilę wynurza się ląd, jesteśmy nad Hiszpanią i za godzinę — w Madrycie. Czy naprawdę pokonaliśmy już ten szmat drogi z jednej półkuli na drugą z południa od równika na północ, z Ameryki Południowej, tego innego świata do rzeczywistości nam znanej i codziennej? Przez długie dni po powrocie pojęcie czasu przedstawiało się nam w następujących rachubach: jest to trzeci dzień od wylotu z Limy, tydzień temu byliśmy nad jeziorem Titicaca itd. To, co było rzeczywistością przez sześć tygodni, staje się żywym wspomnieniem. Przed oczami migają mi obrazy, oglądam siebie «z zewnątrz». Czy to naprawdę ja wędrowałam przez dżunglę

w Kolumbii? Macam lewą rękę, tę, w którą ugryzła mnie małpka biegająca luzem w zwierzyńcu indiańskim na równiku koło Quito. Z zalem ściągam z siebie indiańskie poncho kupione na targu w Silva w Kolumbii, rozmawiam w samolocie z Hiszpanami w ich języku, nie dlatego żeby tak bardzo interesował mnie przedmiot konwersacji, ale żeby podtrzymać to ulotne wrażenie, że podróż się jeszcze nie skończyła, że przygoda trwa, że nie jest już tylko przeszłością. Jeszcze dwie godziny i lądujemy na Heathrow w Londynie. Wychodzimy z samolotu jak ogłuszeni, na lotnisku hałas, ludzie krzyczą, biegają, tłoczą się do kontroli paszportowej, czekamy godzinami na swoją kolejkę, potem jeszcze odbiór bagaży — przybył nam kosz z prezentami, teraz po opróżnieniu spełnia bardziej prozaiczną funkcję, trzymamy w nim brudną bieliznę — i wychodzimy przed lotnisko. Nie ma wątpliwości, to już nie są Andy ani pustynna Lima. Wokoło zieleń, drzewa i trawniki, gazony z kwiatami, szok dla oczu przywykłych do żółtoburego pustynnego krajobrazu. W orgii kolorów i hałasów wkraczamy ponownie w «cywilizację».